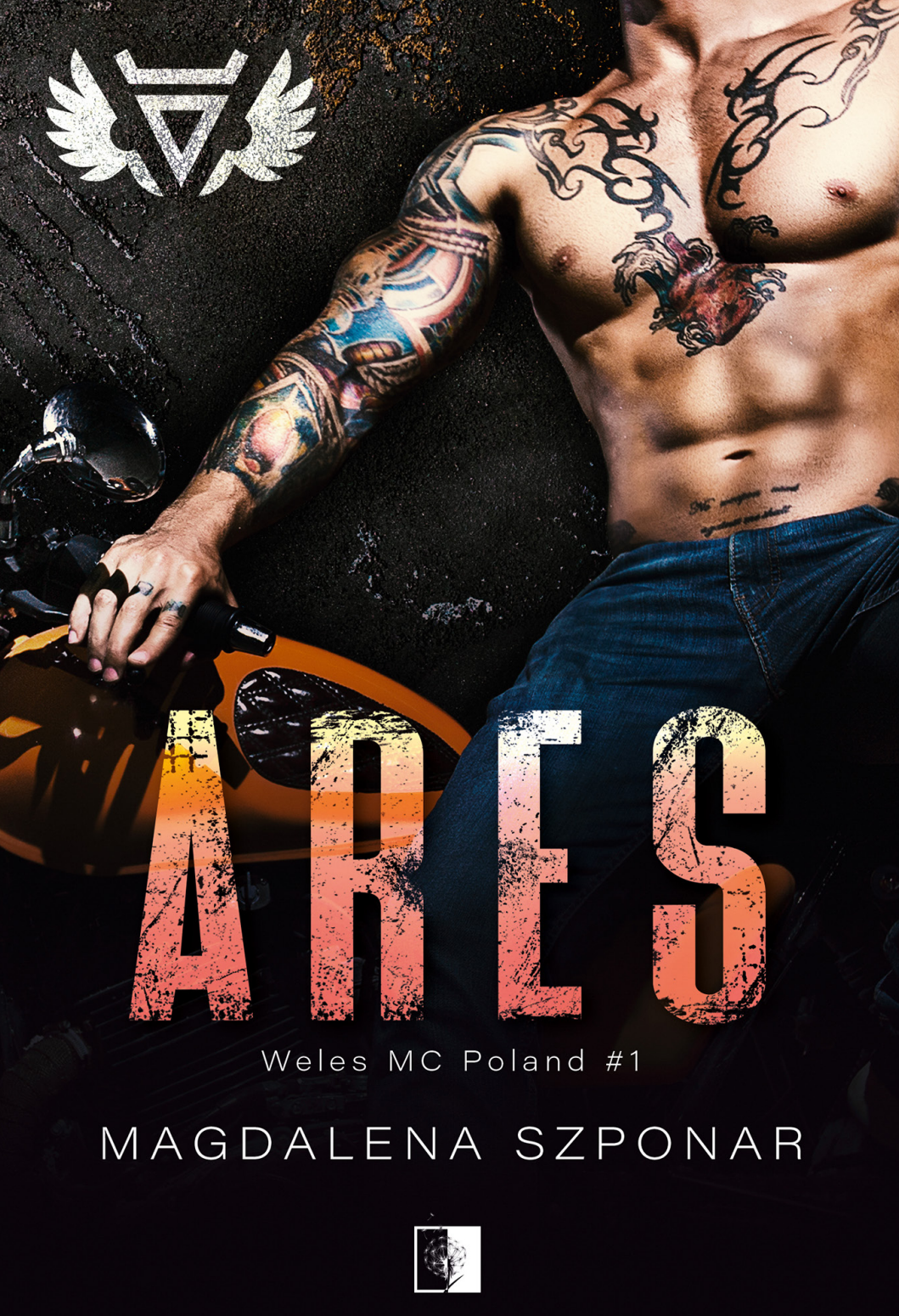




ARES

Weles MC Poland #1

MAGDALENA SZPONAR



Copyright ©

Magdalena Szponar

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Bogusława Brzezińska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-994-3

MAGDALENA SZPONAR

ARES

WELES MC POLAND #1

OŚWIĘCIM 2022

PROLOG

*It's easy to fall in love.
When you fall in love, you know, you're done.
There ain't no easy way, no there ain't no easy way out.
Black Rebel Motorcycle Club, Ain't No Easy Way*

Przyjechali.

Każdego lata obserwowała ich z okien domu rodziców. Sunęła się za nimi niczym cień po drożynach. Zaglądała wszędzie, gdzie oni byli wcześniej.

Wszystko zaczęło się, kiedy miała jakieś pięć lat. To wspomnienie najmocniej zakotwiczyło się w jej głowie. Była właśnie z mamą w sklepie spożywczym, który znajdował się przy głównej ulicy tej pomorskiej miejsciny. Jej rodzicielka była zbyt zajęta rozmową z koleżanką zza lady, by zauważyć Sarę przyklejoną do sklepowej szyby. Przyciągnął ją tam dźwięk. Nie, raczej ryk. Ryk kilkunastu silników.

– Przyjechali. – Sara usłyszała wówczas głos swojej matki. Ociekał rezygnacją, zdenerwowaniem, a nawet obrzydzeniem.

Dla stojącej w oknie dziewczynki ryk silników stał się najpiękniejszą muzyką, jaką kiedykolwiek słyszała. Mamił ją, kusił, przyciągał. A na słowo „przyjechali” miała od teraz czekać miesiącami. Tamtego upalnego dnia posłuchała głosu serca i wyszła przed sklep. Stała przy krawężniku i obserwowała przynajmniej tuzin motocykli sunących po drodze. Pierwszy był najpiękniejszy. Czarny jak noc, z połyskującymi metalo-

wymi elementami. Mała Sara nie wiedziała jeszcze, że był to po prostu chrom. Dla niej jawił się srebrem błyszczącym w blasku słońca. Wydawało jej się, że ta maszyna to pojazd jakiegoś króla. I tak też postrzegała kierowcę.

Miał długie, brązowe włosy zawsze zaplecione w war-kocz, a jego broda sięgała piersi. Raz udało jej się zobaczyć jego twarz z bliska. Była surowa, jakby ciosana z kamienia. Jedynie oczy wydawały się dziewczynce łagodne. Przypominały jej płynną czekoladę. I choć widziała je jedynie raz, była pewna, że patrzą na świat z radością, uwielbieniem i miłością.

Sara wiedziała, że ów mężczyzna jest dowódcą całej bandy. Później usłyszała słowo „prezydent”, a z mijającymi latami dowiadywała się większej ilości szczegółów o klubie motocyklowym Weles MC Poland.

Z prezydentem na jednym motorze od lat do miasta przyjeżdżał również pewien chłopiec. Był starszy od Sary o dobrych kilka lat. Na początku jeździł ze swoim ojcem, później, po latach, siadał na własnych maszynach. Z początku były mniejsze, słabsze, a z czasem zmieniły się w prawdziwe bestie. Razem z nimi zmieniał się ów chłopiec. Gdy Sara była nastolatką, on był już mężczyzną. Ares. Bóg wojny. Tak na niego wołali. Słyszała to nieraz, bo ilekroć pojawiali się w mieście, stawała się ich cieniem, choć tym samym spędzała sen z powiek swoim rodzicom.

Tego lata coś się jednak zmieniło.

Dziewczyna wychodziła właśnie z domu rodziców, by z samego rana skoczyć do sklepu po świeże pieczywo. Od kilku dni chodziła podekscytowana i zdenerwowana. Spóźniali się. Każdego ranka wypatrywała ich na horyzoncie, wsłuchiwała się w ciszę, mając nadzieję usłyszeć ryk motorów. Jednak ich nie było. Powinni przyjechać już kilka

dni temu, a ona po prostu nie mogła uwierzyć w to, że tym razem mogą się nie pojawić.

Większość ludzi odliczała upływ lat przy okazji każdego Sylwestra. Dla Sary rok mijał wtedy, gdy w mieście pojawiali się oni. Teraz więc brakowało jej tego jednego elementu układanki. Dlatego była rozgoryczona i nieuważna.

Odkąd osiągnęła pełnoletność, obiecywała sobie, że każdego następnego lata spróbuje się do nich zbliżyć. Porozmawiać z nimi. Zobaczyć z bliska, jak żyją. Choć tak naprawdę pragnęła zbliżyć się jedynie do Aresa. To on był obiektem jej wszystkich nastoletnich westchnień. To on pojawiał się w snach, których nie odważyłaby się opowiedzieć nikomu. Wreszcie – to przez niego wszyscy chłopcy z miasta, uganiający się za przepiękną blondynką, nie mieli żadnych szans na trwały związek z nią. Nie byli bowiem nim.

Z tymi wszystkimi myślami Sara przemierzała jeszcze zaspane ulice miasteczka. Była zamyślona, niespokojna. Wzrok skupiała na własnych stopach, marszcząc brwi sugerujące pęd jej myśli.

Dlaczego ich nie ma?

Czy coś się stało?

Przyjadą?

Czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę Aresa?

Tak zamyślona wpadła nagle na kogoś, kto wychodził właśnie z małej restauracyjki, jedynej w okolicy, która znajdowała się tuż obok sklepu.

– Uważaj, mała – usłyszała głęboki, oschły i zachrypnięty głos. Nie musiała podnosić wzroku, żeby wiedzieć. To był on. Ares.

– Przepraszam – szepnęła automatycznie.

Cofnęła się o krok i uniosła spojrzenie. Jej oczy wychwyciły wszystkie szczegóły w ułamku chwili. Wielkie, spra-

cowane dłonie z nadgarstkami oplecionymi rzemykami, umięśnione przedramiona pokryte ciemnymi włoskami, szerokie bicepsy, na których do granic możliwości rozciągała się czarna koszulka. Całe jego ręce pokrywały misterne wzory tatuaży. Sara marzyła, by móc obejrzeć je z bliska. Tors Aresa opinała skórzana czarna kamizelka. Dziewczyna wiedziała, że na plecach wyszyty był równoramienny trójkąt z umieszczoną nad nim linią o wygiętych ku górze brzegach imitujących rogi – symbol całego klubu. Dopiero teraz jednak mogła przyjrzeć się naszywkom z przodu, których dotychczas nie widziała. Jej wzrok skupił się na jednej w kształcie złamanych skrzydeł. Choć była piękna, Sara poczuła nagle ukucie lęku.

W końcu spojrzała w górę. Musiała zadzierać głowę, by dojrzeć oczy Aresa. Jej serce zgubiło rytm na ułamek sekundy, gdy zrozumiała, że są takie same jak jego ojca. Piwne. W kolorze płynnej czekolady, z jaśniejszymi drobinkami przypominającymi złoto. Usta mężczyzny wyginały się w leniwym uśmiechu. Mimo otaczającego je przydługiego zarostu, były bardzo wyraźne i pełne.

Sara z zaciekawieniem zerknęła w górę. Ares każdego lata przyjeżdżał z inną fryzurą, a tym razem był to irokez. Długa góra, boki ścięte prawie na zero. Jednak nie to ją zachwyciło. Zrobił to dopiero kolor. Tego roku włosy Aresa przypominały zachodzące słońce – pomarańczowe, z jaśniejszymi i ciemniejszymi pasmami. Zachwycające.

– Bo się zaczerwienię. – Zaśmiał się, widząc jej minę pełną uwielbienia.

Wiedział, jakie wrażenie robił na kobietach, choć z zasady starał się tego nie wykorzystywać, a wbrew wszelkim pozorom, starannie dobierał swoje partnerki.

Obrzucił szybkim spojrzeniem stojącą przed nim dziewczynę. Była irracjonalnie drobna. Przypominała mu skrzata. Jej jasna cera, złote włosy i duże, niebieskie oczy jedynie potwierdzały takie przypuszczenia. Skrzat, ewentualnie rusałka. Zaśmiał się do swoich myśli, ukazując biel zębów. Dziewczyna jak zauroczona wpatrywała się w jego uśmiech, a jej policzki pokryły się szkarłatem.

– Przepraszam – wydukała, odwracając spojrzenie.

– Nie rób tego. Nigdy nie przepraszaj za swoje reakcje – odparł i odwrócił się, zмирzając do swojego motoru.

Zerknął jeszcze raz przez ramię. Chciał połechtać swoje ego, był bowiem pewien, że Rusałka (jak zaczął nazywać ją w myślach), będzie wpatrywać się w jego tyłek. Zdziwił się, gdy zrozumiał, że jej wzrok skupiony był wyłącznie na motorze. I dopiero wówczas ujrzał prawdziwe pragnienie w oczach dziewczyny.

– Hm... – mruknął pod nosem, wsiadł na maszynę i odpalił silnik, który swoim rykiem przerwał ciszę panującą w zaspnym miasteczku.

Odjechał. Sara wpatrywała się w znikającą maszynę, a myśli w jej głowie pędziły szybciej niż jakikolwiek motor na świecie.

Ares siedział na czarnym motorze. Tym samym, na którym od lat widywała jego ojca. W głębi serca dziewczyna wiedziała, że coś musiało się wydarzyć. Coś niedobrego.

Stała tak na ulicy przez dobrych kilka minut, zanim zebrała się w sobie i ruszyła do sklepu. W ciągu tej chwili nabrała pewności. To miał być ten rok, kiedy w końcu odważy się do nich zbliżyć. Do niego. To, co czuła w ułamku sekundy, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, było warte wszelkich poświęceń. Wszelkich wyrzeczeń. Wszelkiego ryzyka.

Rozdział 1

Sara

*End of the road you've taken alone,
devil's hands will replace the ones I've known.*
Black Rebel Motorcycle Club, *In Like The Rose*

Wyszłam ze sklepu, trzymając w dłoni koszyk z zakupami. Za diabła nie pamiętałam jednak, co kupiłam. Moje myśli krążyły wokół tematów, które mąciły spokój mojego ducha od lat. Westchnęłam głośno i spojrzałam przed siebie. Na ulicę powoli wychodzili pierwsi mieszkańcy, którzy wcześniej nie wybrali się do pracy w fabryce porcelany. Znajdowała się ona kilkanaście kilometrów dalej i utrzymywała tysiące ludzi mieszkających w pobliżu.

Co chwilę witałam się z mijanymi osobami, w końcu wszyscy się tutaj znali. Zalewały mnie gratulacje dla taty, który dopiero co otrzymał nagrodę wójta za wybitne osiągnięcia w dziedzinie edukacji (ojciec był dyrektorem miejscowej podstawówki). Pytano mnie o samopoczucie mamy, która wciąż nie pozbierała się po stracie swojej najwierniejszej towarzyszki życia (maltańczycy równie wrednej co moja rodzicielka). Wreszcie to, czego nienawidziłam najbardziej: czy wybrałam już studia? Nie! – miałam ochotę krzyczeć. Z każdą mijaną osobą, z każdą rozmową, podczas której przyklejałam do twarzy uśmiech, miałam ochotę krzyczeć jeszcze głośniejsze. Jednak milczałam. Córce

dyrektora i sołtyski nie wypadało przecież krzyczeć na ulicy, prawda?

Dlatego też w głowie odpowiadałam im tak, jak mi się żywnie podobało.

– Kochaniutka, jak się czuje twoja mama?

Chujowo. Ale co poradysz. Po mnie by tak nie płakała.

– Pogratuluj tacie! To taki zaszczyt dla dzieci z naszej szkoły!

Taaaaak. Zaszczycem byłoby, gdyby tatuś potrafił postawić się wójtowi, a nie wyrzucił jedyne go myślącego nauczyciela w tej dziurze tylko dlatego, że wydało się, że jest gejem.

– Złożyłaś już papiery na uczelnię? Pewnie pójdziesz w ślady ojca?

Cytując klasyka: ni ma chuja we wsi. Na studia się nie wybieram, a całą kasę przeznaczoną na naukę przepieprzyłam.

Oczywiście żadne z tych słów nie opuściło moich ust. Trzymałam je w sobie, zbierając niczym złote myśli. I czułam, że zbliżam się niebezpiecznie do granicy własnej wytrzymałości. Coraz częściej miałam ochotę po prostu rzucić się w przepaść, bez względu na to, co czekało mnie na jej dnie.

– Sarunia! – usłyszałam za plecami wyteżony od wysiłku głos pani Heli, jedynej osoby z całej wioski, którą lubiłam i szanowałam. – Pomóż mi, dziecko!

Podbiegłam do niej czym prędzej i odstawiłam swój koszyk na ziemię, by chwycić wraz z nią skrzynkę, w której zauważyłam przeróżne owoce. Pani Hela była właścicielką małej restauracyjki pełniącej rolę zajazdu o wdzięcznej nazwie U Heli. Knajpka znajdowała się przy głównej ulicy, która przy okazji była drogą wojewódzką. Przejeżdżały wtedy setki różnego rodzaju pojazdów, a część ich kierowców była stałymi klientami w restauracji.

– Przydałby się pani jakiś pracownik – powiedziałam, gdy już wtachałyśmy skrzynkę na zaplecze i wyszłyśmy po kolejną z kilku ustawionych w bagażniku wysłużonego małego forda.

– Ano – potwierdziła. – Ale kogo mam wziąć? Zobacz no – wskazała na drugą stronę ulicy, gdzie przy budynku szkoły stało kilku chłopaków w moim wieku – przecież to się do niczego nie nadaje. Ty, kochaniutka, masz więcej krzepy w łapie niż oni. Chude toto, mizerne, ach! Szkoda gadać! Prawdziwych chłopów już u nas nie uświadczysz!

Zaśmiałam się pod nosem. Co jak co, ale pani Hela często potrafiła trafić w samo sedno. Miała rację i może dlatego od lat skrycie podkochiwałam się w motocyklistach? A w szczególności w jednym z nich... Byli mężczyznami. Z krwi i kości. A nie pierdołami w obcisłych rurkach, którzy boją się pobrudzić ręce skrzynkami owoców, dlatego uparcie odwracają wzrok, ilekroć pani Hela rozpakowuje towar.

– A może ja mogłabym u pani pracować? – wymusnęło mi się, zanim zdążyłam pomyśleć.

Pani Hela spojrzała na mnie jak na kosmitę. Jej oczy robiły się coraz większe, a usta otwierały się szerzej z każdą sekundą.

– Czy ciebie Bóg opuścił, dziecko? – szepnęła przerażona.

No tak. Moi rodzice. W życiu nie zgodziliby się, aby ich jedyna córka pracowała na tak upadlającym stanowisku jak kelnerka. Westchnęłam z rezygnacją. Do diabła! Całe moje dwudziestoletnie życie spędziłam na słuchaniu ich rozkazów! Chyba w końcu mogę zacząć decydować o sobie!

– Widzę, Sarunia, co ci chodzi po głowie. – Natłok moich myśli przerwała pani Hela. – Ani mi się waż! Nie chcę mieć tutaj problemów!

Moi rodzice potrafili uprzykrzyć życie mieszkańcom, jeśli tylko tego chcieli. W zasadzie siali postrach w całej wiosce i prawie nikt im nie podskakiwał. Ich funkcje w życiu społecznym były prawie dziedziczne, więc nikt nie wpadł na to, że przecież sołtysem zostaje się drogą wolnych, demokratycznych wyborów. Niestety, z ludzką mentalnością nikt jeszcze nie wygrał. A skoro tubylcom podobał się ucisk pod dyktaturą pani Weroniki Kochan, mnie nic do tego.

– A jeśli przekonam rodziców? – zapytałam, uśmiechając się przymilnie, choć moje plany były zgoła inne. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że mi się uda. W końcu sztukę manipulacji przy takich rodzicach opanowałam prawie do perfekcji.

– Wróć z ich błogosławieństwem, to pogadamy. – Pani Hela ucieła dyskusję i zniknęła w głębi restauracji, zostawiając mnie sam na sam ze skrzynkami.

Jeszcze nigdy dźwiganie ciężarów nie przyniosło mi tak wielkiej radości. Uśmiech szczeł mi z ust w momencie, kiedy przekraczałam próg domu godzinę później.

– Gdzieś ty była?! – usłyszałam wściekłą mamę, która od wejścia zarzucała mnie pretensjami.

Gdybym nie była przyzwyczajona, zrobiłoby to na mnie wrażenie.

– Poszłam po pieczywo. I pomogłam pani Heli. Ona... – Próbowalam od razu przejść do rzeczy, jednak mama zaraz mi przerwała.

– Przyjechali! – warknęła. – Nie masz mi łązić sama po ulicach, dopóki tu są!

– Mamo... – jęknęłam. – Mam prawie dwadzieścia jeden lat. Naprawdę umiem o sobie zadbać. Poza tym to nie są jacyś mordercy!

Moja rodzicielka spoglądała na mnie z niedowierzaniem. No tak, w jej oczach motocykliści byli o wiele gorsi niż mordercy. Na czym to polegało – nie wiedziałam. Ale nasłuchiwałam się dość historii, by dobrze znać wszelkie uprzedzenia obojga rodziców. Z całych sił próbowałam się nie zaczerwienić na myśl o moim dzisiejszym spotkaniu z Aressem... Wspominanie tej chwili zostawiłam sobie na później, kiedy będę już sama.

– Masz robić, co mówię – skwitowała, biorąc ode mnie koszyk. Po chwili zniknęła w kuchni, do której poczłapałam tuż za nią.

– Dobrze, mam – odparłam, doganiając ją. Oczywiście, że nie miałam zamiaru stosować się do jej dziwnych zasad, nie tym razem, ale dla własnego dobra wołałam to przemilczeć. – Możemy pogadać o cośś innym?

– O twoich studiach?

Jęknęłam w duchu. Po chwili jednak nad moją głową dosłownie zabłysła żarówka. Już wiedziałam co zrobić!

– Tak – odparłam, czym przyciągnęłam uwagę mamy.

Odwróciła się i zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem. Unikałam tematu studiów od dwóch lat, więc nawet się jej nie dziwiłam. Natomiast teraz wietrzyłam w tym dobrą okazję do osiągnięcia celu.

– Chciałabym sobie dorobić przed studiami. No wiesz, żeby mieć kasę na różne rzeczy. Nie chcę was obciążać – powiedziałam, jednocześnie próbując wyciszyć reszki moralności, które coraz głośniejsze dobijały się do mojej świadomości. Kłamałam, lecz robiłam to od tak dawna, że coraz lepiej radziłam sobie z podszeptami sumienia.

– Przecież dajemy ci pieniądze. Odkładasz od osiemnastki – odparła mama.

No cóż... Odkładałam, to fakt. Jednak w tej chwili niewiele z tych pieniędzy zostało, o czym nie wiedział nikt. Nawet moja przyjaciółka Kamila.

– Tak. Ale wiesz, ile kosztuje życie w Gdańsku – rzuciłam. – Poza tym myślę, że powinnam, no wiesz, nabrać szcunku do pracy. W końcu nigdy nigdzie nie pracowałam, chciałabym poczuć się odpowiedzialna za swoje życie.

Mama patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę. Jej podkrążone, czerwone od łez oczy studziły mój zapał swoim chłodnym błękitem. Usta, które zaciskała w wąską linię w grymasie wiecznego niezadowolenia, również nie napawały mnie optymizmem. Wiedziałam, że ta chwila jest decydująca. Milczałam więc, według złotej zasady, że czasami lepiej powiedzieć mniej, niż powiedzieć za dużo.

– Co chciałabyś robić? – Padło pytanie, którego najbardziej się bałam.

– Pani Hela... – zaczęłam.

– Zapomnij! – przerwała mi.

– Daj mi dokończyć!

– Nie! Nie będziesz pracowała w tej, pozał się Boże, restauracyjce! Co ludzie powiedzą?!

Ludzie. Argument na wszystko. Na nic nie zdawały się tłumaczenia, że akurat mnie opinia reszty świata niewiele obchodziła. Chciałam żyć w zgodzie z samą sobą, a musiałam trzymać się twardych zasad moich rodziców. To nie tak, że ich nie kochałam czy nie byłam im wdzięczna. Byłam. Wychowali mnie. Zapewnili wszystko, czego potrzebowałam. Ale nigdy nie pozwolili mi być sobą. Zawsze musiałam być taką córką, o jakiej marzyli. Musiałam spełniać wszystkie postawione przez nich oczekiwania.

Mama odwróciła się do mnie plecami i zaczęła przygotowywać śniadanie. Złapałam kilka głębszych wdechów,

czując, że znów o kilka kroków zbliżyłam się do przepaści. Odezwałam się dopiero po chwili, kiedy byłam pewna, jakie słowa opuszczają moje usta.

– Mamo... – zaczęłam. – Wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej. Ale naprawdę chciałabym się choć trochę usamodzielnić. Pozwól mi na to. A pani Hela? Ona potrzebuje pomocy.

– Ma syna – mruknęła pod nosem. – Gdzie jest, skoro jego matka tak bardzo potrzebuje pomocy?

Syn pani Heli. Temat tabu w naszej wiosce od lat. Michał wyjechał stąd, gdy tylko osiągnął pełnoletność. Wracał przy okazji świąt, ale nigdy nie zagrzewał tu miejsca na dłużej. Był fotografem. Podróżował po świecie, a pani Hela wraz z mężem wspierali go z całych sił. Z dumą pokazywała mi zdjęcia, jakie przysyłał rodzicom z najdalszych zakątków świata. W głębi serca bardzo mu zazdrościłam.

– Jeśli mi na to pozwolisz, obiecuję, że do końca wakacji złożę papiery na studia – oznajmiłam cicho.

Obiecałam. Trudno będzie mi się z tego wywinąć, bo nawet dla mnie to słowo miało wielką moc. Jednak czy było warto? Tak. Wiedziałam, że restauracja jest jedynym miejscem, w którym mogę spotkać Aresa i jego świtę. Odwiedzali ją co wieczór. Lepszej okazji nie będę miała. A jeśli później zostanę zmuszona do studiów – trudno. Przynajmniej najpierw przeżyję największą wakacyjną przygodę mojego życia.

– Obiecujesz? – zapytała mama, odwracając się znów do mnie. Świdrowała mnie spojrzeniem, przed którym nie mogłam uciec.

– Obiecuję.

Słowo się rzekło. Mama kiwnęła głową. Powiedziała jeszcze, że musi to przedyskutować z ojcem, ale obie wie-

działyśmy, że to ona ma w tym domu decydujący głos. Wymusiła na mnie jeszcze jedną obietnicę – miałam trzymać się z daleka od motocyklistów.

Zgodziłam się na ten warunek, choć za plecami schowałam dłonie ze skrzyżowanymi palcami. Wiedziałam, że to dziecinne, ale przynajmniej w taki sposób próbowałam uciszyć sumienie. Wyszło mi to kiepsko, bo krzyczało z całej siły o tym, jaką złą i wyrodną córką jestem. Mimo wszystko byłam gotowa na takie poświęcenie.